

ŁUCJA DEMBY

## ANIOŁ – TO BRZMI DUMNIE?

*Ludzie i anioły* Wiktora Szenderowicza w warszawskim Teatrze Współczesnym (reż. Wojciech Adamczyk)

---

Kiedy człowiek jest zdrowy, normalne funkcjonowanie jego organizmu wydaje mu się rzeczą oczywistą; dopiero choroby i urazy kolejnych części ciała uświadamiają nam, jak skomplikowaną i precyzyjną jest ono konstrukcją. Ta swoista biomechanika sprawdza się także w przypadku spektaklu: kiedy jest perfekcyjnie wyreżyserowany, widz ma wrażenie, że wszystko, co rozgrywa się przed jego oczami, dzieje się „samo z siebie”, w sposób naturalny, jak w życiu. I choć czasy najnowsze, od Wielkiej Reformy Teatralnej po dzień dzisiejszy, zdominowane zostały przez paradygmat Reżysera–Gwiazdy i przez nazwiska wielkich inscenizatorów, trudno nie przyznać, że taka właśnie „przezroczysta” reżyseria jest oznaką najwyższego kunsztu w tym zawodzie. Staje się tak zwłaszcza wówczas, gdy zamierzeniem realizatorów jest przykucie uwagi widza – poprzez sensacyjną akcję albo komizm, lub też oba te czynniki jednocześnie. Widz, który poddany zostaje w zupełności władzy spektaklu, ogląda go „na jednym oddechu”, identyfikując się z nim i zapominając o tym, że za światem przedstawionym ukrywa się niewidzialny, sterujący jego emocjami manipulator – to model recepcji od lat dominujący w kinie. W teatrze sprawdza się on w mniejszym stopniu; myśl o tym, że także tutaj może dawać doskonałe rezultaty, nasunęła mi się jednak z nieodpartą siłą w trakcie spektaklu *Ludzie i anioły* (2009) w reżyserii Wojciecha Adamczyka w Teatrze Współczesnym w Warszawie.

Historia, choć fantastyczna, pod względem fabularnym jest w istocie prosta: w mieszkaniu przeciętnego moskwianina pojawia się w nocy anioł śmierci, by oznajmić mu, że jego życie dobiega końca. Mimo epi-

zodycznej obecności kilku innych wyrazistych postaci przebieg akcji sprowadza się w gruncie rzeczy do długiej rozmowy człowieka i anioła.

Ta pozorna prostota nie zaszkodziła jednak wcale sukcesowi spektaklu, na który złożyło się doskonale współlistnienie trzech czynników: znakomitego tekstu, znakomitej reżyserii i znakomitego aktorstwa. Spośród nich (to odwieczny paradoks teatru) najbardziej dostrzegalna jest praca aktorów, nic więc dziwnego, że to właśnie odtwórcy dwóch głównych ról – Andrzej Zieliński i Sławomir Orzechowski – nominowani zostali do prestiżowej nagrody Feliksów Warszawskich, którą otrzymał za kreację postaci Niejakiego Stroncyłowa, anioła śmierci – Andrzej Zieliński.

Nie byłoby tej nagrody bez błyskotliwej, skrzącej się dowcipem, a jednocześnie bezlitosnej w satyrycznym wizerunku Rosji sztuki Wiktora Szenderowicza. Ten opozycyjny wobec obozu Putina pisarz i dziennikarz przysporzył sobie w Rosji tak wielu wrogów, że w styczniu 2009 roku musiał zmierzyć się z rozpowszechnianym w mediach własnym nekrologiem<sup>1</sup>. Jest on autorem znanego aforyzmu: „Miłość do ojczyzny bywa nieszczęśliwa” – i trudno oprzeć się wrażeniu, że takie właśnie jest jego uczucie do Rosji.

Iwan Paszkin, choć w jednej z recenzji przyrównany do średniowiecznego Mistrza Polikarpa<sup>2</sup>, jest w *Ludziach i aniołach* nie tyle everymanem, co typowym Rosjaninem, a raczej „Noworosjaninem”, drobnym biznesmenem, który handluje karmą dla psów, posługując się Internetem, ale nigdy nie zetknął się z twórczością Dostojewskiego ani malarstwem Hieronima Boscha, i nie wie nawet, jak powinien się przeżegnać wyznawca prawosławia. On to właśnie – człowiek, który w obliczu śmierci nie potrafi wymienić żadnego godnego uznania uczynku w swoim życiu – stał się obiektem trudnej, „nieszczęśliwej” miłości Szenderowicza do własnych rodaków.

„Człowiek – to brzmi dumnie” – stwierdza w finale *Ludzi i aniołów* Iwan Paszkin, i o człowieku przede wszystkim mówi, wbrew pozorom, spektakl Wojciecha Adamczyka. Pozorom ulec można bardzo łatwo, gdyż w sztuce Szenderowicza (noszącej w oryginale tytuł *Dwa anioła, cztery człowieka – Dwa anioły, czworo ludzi*) tematyka „anielska” przez długi czas wysuwa się zdecydowanie na plan pierwszy. Dzieje się tak za sprawą zarówno brawurowej kreacji aktorskiej Andrzeja Zielińskiego, jak i programu teatralnego, sprawiającego wrażenie „małego leksykonu o anielsko-ludzkich stosunkach dyplomatycznych na przestrzeni dziejów”<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Por. m.in. [http://www.dziennik.pl/swiat/article291946/Krytyk\\_Kremla\\_usmiercony\\_nekrologiem.html](http://www.dziennik.pl/swiat/article291946/Krytyk_Kremla_usmiercony_nekrologiem.html) (10.05.2010).

<sup>2</sup> Zob. T. Miłkowski „Nowe wcielenie Polikarpa” *Przegląd* 2009 nr 19 s. 42.

<sup>3</sup> K. Rozner *Anioł, kurde, nie ma lekko* <http://www.kulturalna.warszawa.pl/19.04> (10.05.2010).

To nie przypadek – pisze Monika Sznajderman w jednym z zamieszczonych w programie tekstów – że zarówno w poświęconej aniołom popularnej literaturze, jak też w filmach, anioł pojawia się zazwyczaj w codziennym, najzwyklejszym otoczeniu: w szpitalu i burdelu, w hotelu i na meczu. Chętnie odwiedza kawiarnie i rockowe koncerty i równie chętnie omija kościoły, wybierając raczej miejsca, w których wre życie. Być może zazdrości swoim dawno upadłym braciom tej jednej, godnej pozazdrosczenia chwili, zanim na zawsze zamknięci zostali w kręgu ciemności. Sam również chce upaść i swym upadkiem towarzyszyć człowiekowi. Chce zejść jak najniżej i w sposób równie symboliczny co dosłowny zanurzyć się w ziemskim, fizycznym bycie<sup>4</sup>.

Takiego też, charakterystycznego dla naszych czasów anioła – anioła ziemskiego, uczłowieczonego, któremu skrzydła „odpadły w procesie ewolucji”, pokazuje w swojej sztuce Wiktor Szenderowicz.

Historię anioła, któremu bliżej było do ziemskiej niedoskonałości niż do Najwyższych Rzędów, na naszym rodzimym gruncie opowiadał w niedalekiej przeszłości film Artura Więcka „Barona” *Anioł w Krakowie* (2002). Krakowski twórca pokazał jednak ludzkie oblicze Anioła Giordano w duchu patronującej temu przedsięwzięciu myśli Tischnerowskiej: człowiek jest wprawdzie istotą słabą i pełną wad, ale nie przeszkadza mu to wcale zbliżyć się do Boga – wystarczy spełnić codziennie jeden, drobny chociaż, dobry uczynek.

Niejaki Stroncyłow w sztuce Szenderowicza jest natomiast podobny do człowieka w tym, co najgorsze, i nie pozostawia żadnych złudzeń, by „tam, na górze” inni byli lepsi od niego. Bóg już dawno przestał się interesować dziełem Stworzenia, czyta z rozpaczy literaturę ateistyczną i jest „tak, jakby go nie było”; pozostała tylko bezduszna „wola boża”, anielscy urzędnicy i komputery.

„Słaby na górze się nie utrzyma” – informuje Stroncyłow. „U nas na dole też nie bardzo” – wtóruje mu Iwan Paszkin. Ta analogia między „górami” i „dołami” jest jednym z fundamentów zarówno dramaturgii, jak i komizmu *Ludzi i aniołów*. Kiedy wraz z wybiciem godziny piątej rano w drzwiach mieszkania pojawia się nieznany mężczyzna, trudno zgadnąć, czy jest on śmiertelnikiem (lekarzem z pogotowia ratunkowego), czy aniołem Likwidatorem.

„A więc tak: ci jadą, tamten leci” – rozważa Paszkin, oczekując, przy wtórze tykania zegara, na lekarza i na anioła śmierci. I trudno mu się dziwić, że nie potrafi rozpoznać, kto jako pierwszy pojawia się w jego mieszkaniu. Ludzie, którzy odwiedzają go tej nocy (zwalisty Sanitariusz, demoniczny Notariusz), mogą uchodzić za przybyszów z zaświatów; aniołów (to Niejaki Stroncyłow, popijający „koniaczek” i poszukujący

---

<sup>4</sup> M. Sznajderman „Michael, Gabriel, Dudley, Al” *Tygodnik Powszechny – Kontrapunkt* 1998 nr 1–2 s. VIII.

dobrego mieszkania w Moskwie, oraz Likwidator – cichy, starszy osobnik, marzący o emeryturze) trudno odróżnić od ludzi. Przemieszanie ludzi i aniołów znajduje swoje ukoronowanie w finale spektaklu, kiedy Paszkin i Stroncyłow okazują się dużo bardziej do siebie podobni, niż można by na początku sądzić (w kontakcie z lekarzem posługują się nawet tym samym nazwiskiem). Podobieństwo to nie wynika jednak z faktu, że i „ci, na górze”, i „ci, na dole” kombinują; przeciwnie. Nędzny człowieczek, jakim jest Iwan Paszkin, okazuje się dużo bardziej szlachetny aniżeli anioł; po prostu – „ludzki”. Anioł z kolei pokorniej i rezygnuje z zamiaru uśmiercania kolejnych „wybrańców losu” (a raczej z komputera), aby włączyć się w zwykły nurt ziemskiej egzystencji. Szenderowicz obśmiewa swych rodaków i ich narodowe wady, ale w zakończeniu przywraca nowy sens wyświechtanemu już cytatowi z Gorkiego. Nawet osobnik, taki jak Iwan Paszkin, potrafi odnaleźć w sobie głębokie pokłady człowieczeństwa.

Przemiany, jakim podlegają bohaterowie i świat przedstawiony na scenie (ten wewnętrzny, skupiony wokół stołu z butelką ormiańskiego koniaku, i zewnętrzny, którego symbolem jest widok Moskwy za okienną szybą), są jednak przede wszystkim efektem trzeciego spośród wymienionych wcześniej czynników – precyzyjnej w każdej minucie reżyserii spektaklu.

Przedstawienie Wojciecha Adamczyka oglądałam dwa razy: najpierw niedługo po premierze, później, po upływie paru miesięcy, kiedy nagrodzone zostało Feliksem. Za drugim razem w epizodycznej roli Sanitariusza występował wyjątkowo sam reżyser. Kiedy przy dźwięku niekończących się braw kłaniał się wraz z innymi aktorami przed publicznością, trudno było oprzeć się myśli, jak wspaniałym, a zarazem rzadkim uczuciem musi być dla reżysera radość płynąca z uczestniczenia w tej owacji na żywo. Pozbawiony zazwyczaj, w przeciwieństwie do dyrygenta, możliwości bezpośredniego kontaktu z widownią, w takich momentach może nie tylko poczuć akceptację widzów, ale także odsłonić własną twarz, ukrytą zwykle za „przezroczystą” reżyserią doskonale skonstruowanego dzieła.

Spektakl Wojciecha Adamczyka *Kolacja dla głupca* (2001; Teatr Ate-neum im. Jaracza) jest grany przy pełnej widowni od ponad ośmiu lat. *Ludzie i anioły* – komedia bardziej serio, ale równie perfekcyjnie wyreżyserowana i zagrana – mają szansę stać się kolejnym teatralnym przebojem Warszawy. Choć Feliksa otrzymał tylko Zieliński, wielkie brawa należą się także Sławomirowi Orzechowskiemu, Wojciechowi Adamczykowi i wszystkim innym realizatorom spektaklu.

Andrzej Zieliński (Niejaki Stroncyłow) i Sławomir Orzechowski (Iwan Paszkin).

Zdjęcie: Marcin Englert

Lucja Demby – e-mail: demby@aster.pl